GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 5 | Poznań, dnia 9 lutego 1936 | Cena 20 gr

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

PRZEPROWADZKA

Sztuka w 4 aktach



OSOBY:

FRANEK, lat 26. Wyszarzała marynarka, włożona na gołe ciało — spodnie wytarte i obstrzępione z widoczną łatą na kolanie — trzewiki dziurawe — stara trenerska czapka.

ZOŚKA, lat 16. Olśniewająco piękna. Jakaś „przyodziewa".

FELEK, lat 23. Przystojny, doskonale zbudowany — spodnie „do roboty", przepasane rzemykiem — koszula sportowa, głęboko wycięta i bez rękawów — czapka trenerska — trzewiki płócienne.

STARSZY PAN, lat 68. Doskonale ubrany — twarz zwiędła — oczy wypłowiałe o dobrotliwym wyrazie „przeszłościowym" — wspaniała laska.

CIEPIEL, lat 55. Okropnie gruby, typ apoplektyka — zalana tłuszczem łagodność.

CIEPIELOWA, lat 34. Trzy kwadranse na urodę — ale raczej pospolita.

ELEGANT, lat około 40. Postać najzupełniej podejrzana. Żakiet wyświechtany — lakierki — krawat bardzo kolorowy — wszystko razem powinno nasuwać na myśl unikanie wody i mydła.

ŚLUSARZ, lat około 50.

NUREK

oboje w sile wieku.

NURKOWA

PANIUSIA (lat 50).

DAMA, (lat 30).

RYSIUNIO (lat 6).

Głos Józia.

Przechodnie — gapie — klubowcy w oknie.

AKT PIERWSZY.

Ulica św. Jana w Krakowie.

Na pierwszym planie chodnik. Wzdłuż chodnika, prawie przez całą szerokość sceny ciągnie się wał cegieł, przygotowanych do budowy. Z prawej — od strony widowni — rodzaj olbrzymiej paki na piasek. Paka ta graniczy z cegłami. W pobliżu paki stoi kilka drewnianych zydli, na których złożono puste nosze. Dwa zydle są próżne. W głębi kamienica Nr. 11. — nad bramą odznaka krakowskiego klubu automobilowego. Słaby ruch pieszy — od czasu do czasu widać z za cegieł dachy przejeżdżających samochodów i głowy dorożkarzy.

Po chodniku, tam i nazad, przechadza się Starszy Pan z założonemi w tył rękami. Trzyma w nich laskę. Z jego zachowania się można odrazu wywnioskować, że oczekuje na czyjeś przybycie. Nagle przystaje — patrzy z napięciem w lewo — zawód!

STARSZY PAN (patrząc na złoty, dwukopertowy zegarek — półgłosem).
Pięć minut po dwunastej... (Chowa zegarek — przybiera poprzednią pozę i krąży dalej). Nareszcie! — (Rozpromienienie — ale natychmiast maska, że niby nigdy nic).

(Po krótkiej chwili wchodzi Zośka z menażkami i dużym kawałkiem chleba w dłoniach. — Nie zwracając na nikogo uwagi siada w miejscu, gdzie częściowo wybrane cegły utworzyły rodzaj ławki, stawia menażkę obok siebie — czeka w sposób właściwy ludziom, przyzwyczajonym do tej czynności).

STARSZY PAN (nadal udaje, że nigdy nic, ale ukradkiem spogląda na Zośkę okiem znawcy. Wreszcie niby to na str.):
Ta nie punktualność... (po chwili patrząc ponownie na zegarek). Chyba się spieszy. (Po chwili świecąc zegarkiem w dłoni). Przepraszam panienkę. Nie słyszała panienka... czy dwunasta już dawno wybiła?

ZOŚKA
Przed chwileczką, proszę pana.

STARSZY PAN (wciąż świecąc zegarkiem)
Bo u mnie wpół do pierwszej.

ZOŚKA
Nie będzie tyle.

STARSZY PAN (j. w.)
A jak panienka sądzi. Ile tak mniej więcej może być?

ZOŚKA
Z parę minut po dwunastej.

STARSZY PAN
Dziękuję panience. (Niby to reguluje zegarek). Bo czekam tutaj na szofera... miał zajechać (wskazując zegarkiem dom w głębi) przed klub...

ZOŚKA (nie reaguje.)

STARSZY PAN (po chwili patrzenia w Zośkę, chowając zegarek).
Nieznośne. (Po chwili chodzenia). Panienka z pewnością także nie lubi czekać.

ZOŚKA
Ktoby lubił.

STARSZY PAN (po chwili chodzenia.)
Panienka pracuje w fabryce?

ZOŚKA
Nie.

STARSZY PAN
Przy rodzicach?

ZOŚKA
Nie.

STARSZY PAN
Sama?

ZOŚKA
Przy bracie.

STARSZY PAN
Zapewne murarz.

ZOŚKA
Koźlarz.

STARSZY PAN
Koźlarz?

ZOŚKA
Taki, co nosi cegły.

(Z lewej weszli dwaj przechodnie).

PIERWSZY PRZECHODZIEŃ
Patrzno, jak się ten stary przystawia.

DRUGI PRZECHODZIEŃ
Ale bo też i śliczna dziewczyna. Oczy, usta, linja...

PIERWSZY PRZECHODZIEŃ
Jeszcze dać jej odpowiednią oprawę...

DRUGI PRZECHODZIEŃ
Zgodziłbym się nawet bez żadnej oprawy.
(przeszli na lewo).

STARSZY PAN (który zauważył, że o nim mowa i natychmiast zaczął z przejęciem badać cegły, gdy przechodnie zniknęli z oczu).
A taka cegła będzie ważyć z jakie... trzy kilo...

ZOŚKA (z nagłą goryczą)
Bez mała pięć.

STARSZY PAN
I naraz biorą sztuk?...

ZOŚKA
Czterdzieści.

STARSZY PAN
Ciężki chleb...

ZOŚKA
A ciężki.

STARSZY PAN
Trzeba mieć zdrowie....

ZOŚKA (milczy)

STARSZY PAN
Oczywiście brat panienki ma zdrowie.

ZOŚKA
Tak tam.

STARSZY PAN
Nie bardzo?...

ZOŚKA
No.

STARSZY PAN
A panienka może... bezrobotna...

ZOŚKA (milczy)

STARSZY PAN
Bezrobotna?

ZOŚKA
No.

STARSZY PAN
A coby tak panienka chciała?

ZOŚKA
Byle co.

STARSZY PAN
Naprzykład... za pokojówkę...

ZOŚKA
Niechby i za pokojówkę.

STARSZY PAN
A służyła już gdzie panienka?

ZOŚKA
Nie.

STARSZY PAN
A gdyby tak... do mnie na... naukę...

ZOŚKA
Przecie mnie pan nie zna.

STARSZY PAN
Panienka wygląda sprytnie, uczciwie...

ZOŚKA
To niech pan pomówi z bratem.

STARSZY PAN
Kiedy go niema.

ZOŚKA
Zaraz nadejdzie.

STARSZY PAN (nagle spoglądając w prawo i pokazując palcem Felka, który od dłuższej chwili stoi z pustemi noszami na grzbiecie i z niesamowitym, żbikowatym wyrazem twarzy przysłuchuje się rozmowie.)
To ten?

ZOŚKA (po szybkiem spojrzeniu na Felka, spuszczając oczy.)
To Felek.

STARSZY PAN
Krewny?

ZOŚKA (z naglem zniecierpliwieniem.)
A cóż się pan tak wypytuje?

STARSZY PAN
Nie chciałem panienki urazić.

FELEK (nie spuszczając oka ze starszego pana stawia nosze na ziemi — wyjmuje z kieszeni paczuszkę tytoniu i bibułki, i zaczyna kręcić papierosa.)

ZOŚKA (ruszając ramionami.)
Przecie mnie pan nie uraził.

STARSZY PAN (po wpatrywaniu się w Felka, kwaśno do Zośki.)
Bardzo przystojny chłopak.

ZOŚKA (zatrzepotała powiekami.)

STARSZY PAN (po chwili.)
No więc w zasadzie zgodziłaby się panienka?

ZOŚKA
Jak się brat zgodzi, to i ja się zgodzę.

FELEK (nagle pakując do kieszeni i tytoń i bibułkę i niedokończonego papierosa — ruszając z kopyta, potrącając starszego pana i podchodząc do Zośki z wyciągniętą ręką.)
Dzień dobry, panno Zosiu! (siadając koło Zośki i niby to ignorując starszego pana — który się cofnął wzburzony potrąceniem — ale tak głośno, żeby każde słowo dotarło do jego uszu). Miejsce się pannie Zosi szykuje. Z pewnością takie... „do wszystkiego". Ciężkie czasy, to „wszystko" trzeba mieć w domu. Tembardziej, że panna Zosia...

ZOŚKA
Niechże pan Felek da spokój...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Bross, Poznań

L. Mierosławski winien czy nie winien?

(Na marginesie artykułu Adolfa Nowaczyńskiego „Mierosławski zrehabilitowany?“)

Zebrawszy wszystkie te uwagi razem, utrzymuję zatem, iż regułą jest, że polityczny więzień nie zapierać się, lecz wyznać powinien z oględnością, to jest bez szkody dla sprawy i dla innych, wiarę swą polityczną, jako też czyny. Jeźli zaś tego systemu trzymać się z różnych powodów nie chce lub nie może, wtedy powinien obrać system protestacyi, to jest oświadczyć Sądowi z wrogów, jak to naturalnie zawsze bywa, złożonemu, iż go nie uważa za kompetentny dla siebie sąd, i odmówić wszelkich odpowiedzi na czynione indagacye. Rozumie się, iż przypuszczam tu, że więzień przed sądem jawnym występuje, bo jeżeli cały proces jego tajnie się odbywa i żadne słowo przez więźnia wyrzeczone, do publiczności nie dojdzie, tylko w martwych spocznie aktach, w takim razie naturalnie nic nie pozostaje jak zaciąć zęby i nic nie odpowiadać, lub przynajmniej o to się starać, aby do najmniejszej rzeczy się nie przyznać, bo jedno małe przyznanie pociąga drugie i trzecie i tak w nieskończoność.

Centralczycy nie mieli słuszności, że się ślepo powoływali na wykonaną przysięgę milczenia, bo trzymali się tylko litery ,ale nie ducha tego przepisu. Chcieli oni spiskować w bezpieczeństwie na tej zasadzie, że ich spisek nigdy się nie wyda, będąc przysięgą milczenia obwarowany. Ale tak oględny spisek na nic się nie przyda, nigdy do czynu nie dojdzie. Ta to zgubna zasada jest przyczyną, że dziesięć lat spiskowali, a w końcu jednak nic nie zrobili, że mimo upierania się przy sterze musieli w końcu inicyatywę dać sobie z rąk wyrwać“...

„Jeżeli charakterystykę spiskowych poznańskich chcemy ułożyć, możemy ogólnie powiedzieć: zapierali się ci, którzy długo należąc do nieczynnego spisku, tę maksymę sobie wyrobili, aby do niczego się nie przyznawać. Oni to dawno przypuszczali i oswajali się z tą myślą, iż mogą kiedyś być skompromitowanymi i dostać się do więzienia, ale naprzód na taki przypadek jako pewne zbawienie, które dosyć mylnem się okazało, system zaprzeczania, choćby słońca na niebie, przyjęli. Pod moralnym względem cześć tym ludziom oddaję, gdyż okazali stałość charakteru i dochowali przysięgi, którą acz niepotrzebnie, literalnie za obowiązującą uważali.

Zapierali się powtóre ci, którzy do spisku bez głębokiego przekonania przystąpili, ludzie słabego charakteru lub głowy. Obie te kategorye nie były w swym żywiole i nigdy nie powinny były spiskować.

Przyznawali się ci, którzy rzucili się w rewolucyą z przekonania lub wezbranego uczucia, i nigdy o tem nie pomyśleli naprzód, że zamiast ziszczenia się ich nadzieji, mogą się do więzienia dostać. Ci nieprzygotowanymi znaleźli się w tem nowem położeniu, i jak z determinacyą szli do rewolucyi, tak też teraz, gdy się już stała nie podobną, z rezygnacyą na cierpienia się wystawili i nie myśleli o wypieraniu się swych czynów i dążeń.

Ci ludzie byli to właściwi spiskowi, bo do spisku, wbrew dawniejszym o tem opinjom, nie potrzeba tyle ostrożnych, jak raczej determinowanych ludzi. Kto zbytnie jest ostrożny, ten nigdy śmiało działać nie będzie, ten po tajemniczych manowcach drobne, nieśmiałe kroki stawiając, nigdy do celu nie dojdzie. Zamiast tej zbytniej ostrożności, żądałbym od spiskowego tylko silnego charakteru, woli niezłomnej, rezolucyi i rezygnacyi, ale naturalnie nie bez należnej i koniecznej przezorności, byle ta nie wyradzała się w bojaźliwą ostrożność. Myliłby się jednak ogromnie, ktoby według podanych kategoryi każdego z więźniów klasyfikując, wyprowadzał z tego wniosek o jego osobistym charakterze. To com powiedział, jest tylko prawdą, gdy ryczałtem na massę więźniów się zapatrujemy, ale nie masz wątpliwości, że rozbierając ich pojedyńczo, znajdziemy najrozmaitsze powody, które jednych do wyznania, innych do zapierania skłaniały, tak, iż ani jedno, ani drugie samo przez się miarą siły lub prawości ich charakteru nie jest. Przyzwyczajono się uważać tych, którzy się zapierali, za ludzi najsilniejszego charakteru; tych, co wyznawali, okrzyczano za słabych, nieledwie za zdrajców. Jednakże sąd ten jest bardzo miałki, bo wiemy wszyscy, iż przed inkwizycyą pruską bynajmniej tak wielkiej stałości charakteru nie było potrzeba. Wszakżeż nikogo surowemi środkami, jak to w Rossyi bywa, nie przymuszano do wyznań; ale to prawda, że podstępami wyłudzano wyznania. Mniej przebiegli dali się złudzić, to przecież charakteru ich nie plami, ale raczej dowodem jest ich prostoduszności. Niektórzy nawet nie przez podstępne podchwyty, ale z własnej woli do wyznania się skłonili w przekonaniu, iż tak lepiej czynią. My więźnie, którzy najlepiej wzajemnie się podczas procesu poznać mogliśmy, wiemy dobrze, iż zapierania się było u niejednego powodem tchórzostwo lub inne mniej szlachetne uczucie, wyznania zaś, odwaga lub inny szlachetny powód, i na odwrót; wiemy, że byli ludzie bardzo uczciwi i szlachetni pomiędzy tymi, co się zapierali, jak również między tymi, co wyznawali; wiemy, słowem, że to nie stanowi kryteryum charakterów. Zamiast więc chwalić lub ganić postępowanie więźniów przed sądem, zostawmy to raczej ich własnemu sumieniu i Bogu, bo on jeden tylko w tajniki serc ludzkich i wewnętrzne pobudki wglądać może“.

Tak przedstawił sprawę zeznań współwięzień Władysław Kosiński. Szczególnie ważny jest wyrażony tu pogląd, że spiskowcy poznańscy, skoro ich związek tajny został wykryty i całkowicie wzięty do niewoli, znajdowali się w położeniu jeńców polityczno-wojennych, których obowiązkiem było wyznać otwarcie i odważnie przed sądem i światem, co chcieli wykonać dla oswobodzenia ojczyzny. Podobne myśli zawiera wspomniana odezwa Mickiewicza, którą mógł znać Kosiński. Niewątpliwie broni Kosiński temi słowy swego postępowania w śledztwie, a tem samem również postępowania Mierosławskiego, co później jeszcze wyraźnie zaznaczy, zaprzeczając twierdzeniom Moraczewskiego. Czy wynurzenia Kosińskiego są szczere? Sądziłbym, że tak. Przemawia za tem ich forma i treść. Jakiekolwiek uchybienie, przedstawienie sprawy niezgodne z istotnym stanem rzeczy byłoby zresztą zbyt ryzykowne dla ich autora.

Wydaje się, że bezpośrednio po upadku powstania sprawa zeznań Mierosławskiego niebardzo zajmowała umysły współczesnych. Zaprzątała je wówczas konwencja jarosławiecka, dokoła której toczyła się namiętna polemika. Przy tej sposobności wytoczono, jak podaje Marceli Szarota[19]), najcięższe działa przeciwko Mierosławskiemu. Urabiając mu nieprzychylną opinję, dążono do poróżnienia go z Karolem Libeltem. W liście do siostry, cytowanym przez Szarotę, Mierosławski, tłumacząc się, zaznacza, że nigdy Libelta nie potępiał za to, że konwencję podpisał. W liście do szwagra Mazurkiewicza, cytowanym przez tegoż Szarotę, pisze: „Nienawiść i oszczerstwa parafji mnie nie dziwią, alem się już z tem otrzaskał. Bogu dzięki, że nie z nią i przez nią robią się ruchawki; nie z nią i nie przez nią Polska stanie na nogi.“

Wśród odgłosów tak namiętnych polemik Mierosławski porządkuje swoje wspomnienia i ponagla, jak podaje Szarota, bezustannie siostrę i szwagra, by własne papiery, przechowane w Poznaniu, pamiętniki i relacje innych uczestników powstania wysłali mu conajrychlej, bo pragnąłby wszystko sumiennie uwzględnić i napisać bezstronną historję powstania. Wyprzedza go jednak Koźmian i Moraczewski, bo jego „Powstanie Poznańskie w roku 1848“[20]) ukazuje się dopiero w 1852 r.

Interesują nas przedewszystkiem szczegóły, dotyczące zeznań Mierosławskiego. Twierdzenie Moraczewskiego, jakoby Mierosławski wygotował na użytek Humboldta lub króla pruskiego zeznanie, objaśniające spisek, nazywa Mierosławski „plotką rodzimie Poznańską“ i pisze co następuje (str. 16):

„Z lada gazety ówczesnej mógł się przecie J. Moraczewski dowiedzieć, że memoryał wygotowany przez Mierosławskiego na żądanie króla, wcale nie dotyczył spisku z roku 1846, jeno wszechsławianizmu i przestróg danielowych rozwieszonych nad Niemcami Północnemi. To pismo tak było obce aktowi zaskarżenia, że prokurator królewski po dwakroć wezwany przez obrońcę Mierosławskiego, ażeby je złożył sądowi, wyraźnie tego odmówił, jako rzeczy do procesu nie należącej. Dopiero za staraniem przyjaciół Mierosławskiego treść owego memoryału umieszczoną została w trzecim rozdziale dziełka wyszłego w Lipsku pod tytułem: Débat entre la Révolution et la Contre-Révolution. Za tę niedyskrecyę wytoczono Mierosławskiemu, już na śmierć skazanemu, powtórny proces. Czy o tem nowem zaskarżeniu chce mówić J. Moraczewski? Trzaby jaśniej pisać, nawet plotki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[19]) Szarota Marceli. Kartka z życia Mierosławskiego. Kronika m. Poznania, V., Nr. 3, 1927.

[20]) Mierosławski Ludwik. Powstanie Poznańskie w roku 1848. W kształcie objaśnień do Jędrzeja Moraczewskiego powieści. Paryż, 1852.

Taktyka a nie przemiana?

Od dobrych kilku miesięcy pewne mniej i więcej znaczące fakty, jakby sygnalizowały zmianę dotychczasowej polityki stronnictw ukraińskich separatystów w Polsce.

Oczywiście chodzi tu przedewszystkiem o zmianę stanowiska przez „Undo“, które od początku odbudowania naszego państwa zajmowało wobec niego zdecydowanie negatywną postawę.

Pierwszym krokiem,świadczącym o zmianie kursu polityki separatystycznej na „pozytywną“, było niewątpliwie wzięcie udziału przez „Undo“ w wyborach parlementarnych, na podstawie nowej ordynacji wyborczej.

Było ono wynikiem porozumienia pomiędzy sferami rządowemi a „Undem“.

To porozumienie wyborcze dało „Undu“ reprezentację w sejmie, która rozpoczętą przed wyborami nową „politykę“ kontynuuje. — Kulisy tej polityki są oczywiście społeczeństwu nieznane. Jednakże wyniki jej uwidoczniły się zarówno w tem, iż stosunkowo nielicznemu klubowi „Unda“ w sejmie przydzielono stanowisko wicemarszałka, które zajął poseł Mudryj, jak i w dalszej taktyce tego klubu przy obradach budżetowych. Otóż właśnie w obradach nad budżetem w komisjach poraz pierwszy w odbudowanem państwie klub undowski ustosunkował się pozytywnie do budżetu wogóle, a do wojskowego w szczególności. Następstwem tego ostatniego posunięcia „Unda“ była wizyta jego reprezentantów w G. I. S. Z. u gen. Rydz-Śmigłego.

Co miała do powiedzenia par excellence polityczna reprezentacja „Undo“ w G. I. S. Z.-u nie wiadomo. Jeśli to była wizyta tylko kurtuazyjna, to dlaczego pominięto ministra spraw wojskowych, jako oficjalnego reprezentanta resortu wojskowego?

Biorąc pod uwagę wspomniane wyżej wydarzenia nie sposób nie postawić zasadniczego pytania: — czy „pozytywizm“ polityki „Unda“ jest szczerym odwrotem z dotychczasowej linji negacji i separatyzmu, — czy też jest tylko grą taktyczną podyktowaną specyficzną konjunkturą polityczną?

Jeśli przypomnimy sobie całą przeszość „Unda“ i pokrewnych mu stronnictw, oraz całe ich separatystyczne zacietrzewienie, polegające na zupełnem zapoznaniu interesów wspólnoty słowiańskiej, to wyznać musimy, iż realizm polityczny każe nam przyjąć tę drugą możliwość.

Ani na chwilę tej tezy nie osłabia fakt, że tej taktyce „Unda“ w sejmie towarzyszy silna propaganda „nowej polityki“ wśród dołów partyjnych, które, wychowane w bezwzględnej negacji oraz w terorystycznych U. O. W. i U. O. N., nie są w stanie zrozumieć zbyt szybko tej naprawdę „rewolucji politycznej“ „Unda“. Trudna ona jest do zrozumienia także i dla nas.

Żyjemy jednak w dobie wszelkiego rodzaju rewolucyj, dlaczegoż nie byłaby ona możliwa w danym wypadku? Otóż my, którzy wierzymy w rewolucję, w zasadzie nie mieliśmy powodu nie wierzyć „Undu“, gdyby nie pewne ale... Mianowicie mimowoli nasuwa się pytanie dlaczego do tej zmiany stanowiska „Unda“ doszło dopiero teraz a nie wcześniej?

Przecież powiedzmy szczerze, maj 1926 r. dla obecnego„pozytywizmu“„Unda“otwierał bardzo duże możliwości. A mimo to w tym okresie podejmowane przez pilsudczyków próby nawiązania więzów współpracy ze sferami ruskiemi dawały jeno tragiczne wyniki zarówno dla polskości na ziemiach wschodnich jak i dla najgorliwszych zwolenników „pojednania“, którzy jak śp. Hołówko i Pieracki przypłacili je życiem. Trudno uwierzyć frazesom, powtarzanym i podawanym w prasie „sanacyjnej“ z okazji procesu przeciwko mordercom śp. min. Pierackiego, jakoby przelana krew tych Polaków miała być przyczyną otrzeźwienia separatystów i podstawę do unormowania stosunków.

Zatem muszą być jakieś inne przyczyny tej zmiany frontu „Unda“. Pytanie jakie? Nie ulega wątpliwości, że o nowej taktyce „Ukraińców“ zadecydowały przyczyny nader ważne, wypływające zarówno z wewnętrznego położenia politycznego w kraju, jak i z sytuacji politycznej na terenie międzynarodowym. Waga zagadnienia wymaga odrębnego jego omówienia.

J. T., POZNAŃ.

Leonard Turkowski, Poznań

Głód

Inwokacja.

(Fragment z wiersza: „Bilans“, napisanego na 20-tą rocznicę swoich urodzin).

20 lat.
Jak Boga kocham, jakie to jest głupie.
Tak długi czasu szmat —
i nic.
20 lat.
Choć mi kto powie jakiś tłusty wic,
to mnie tak śmiech nie łupie.

* * *

I tak codziennie prawie:
przy pracy, na obiad, przy kawie,
modlili się złością
i nienawiścią.
Z serca spadała mi radość,
jak zwiędłe liście.
Modlili się piorunami,
żywemi kamieniami.
Święty z błyskawicami
módl się za nami!
Amen.

Już mniejsza, jak było dalej.
Każdy tydzień — siedem cali:
gwóźdź gruby, długi, śpiczasty, —
bolący.
Gdzieś, het, daleko, za miastem,
świeciło słońce.

* * *

Cierpienie — cierpienie — cierpienie —

Chwile radości młodzieńczej,
dzikiej, szaleńczej,
która nic przecież nie zmieni.

— Zocha —
a potem ty —
już tylko ty —

Zobacz. Oczy. Łzy.

Kocham.

Pamiętasz te chwile?
Te straszne ciosy?
Na spokój się tylko silę.
Na głowie stają mi włosy.

Nie zapomnij mi tego nigdy.
Choćbym katował cię zdradą,
grzechem, szyderstwem,
kłamstwem, maskaradą,
choćbym resztkami sil
kopał i bił —
nie zapomnij mi tego wszystkiego.
Jak ja ci nie zapomnę.
Twe ciało słabe, choć czerstwe,
na pastwie złego.

O, burzo! burzo wspomnień!!!

* * *

Na ustach męką skrzywionych
nosiłem ziemską bryłę.
Pocałunkiem szalonym
pieściłem wargi jej zgniłe.
Złodzieji, jawnogrzesznice,
bandytów i morderców
nosiłem w sercu
narówni.....

* * *

Ubrałem się w wytrwanie —
szlachetne, ciepłe spodnie.
Najadłem się ukochaniem,
napiłem się twoją łzą.

* * *

20 lat.
Czy czujesz ten komizm — Zocha? —
przez taki czasu szmat
tylko cierpieć i kochać —?
Nie jestemże nędzny?
Pluj w pysk, idź precz — i już.
Lecz wpierw
wepchnij mi w serce nóż.

Modlitwa.

Jem. Dużo. Nawet za dużo.
Ziemniaki i chleb ceglasty.
A jednak serce mi struże
myśl głupia, żem jest na łasce.

Stój dzień cały przy żłobie
i zawsze mam dosyć.
(Ktoś inny zarobił,
a mi przynosi).

Męczą mnie dziś na nowo
myśli o śmierci krzywe.
Albo... — O, Boże! daj znowu
głód — ten głód prawdziwy!

Do żebraka.

Odejdź od moich drzwi.
Ja nie mam nic prócz chleba.
Tego ci nie potrzeba.
Jam nie jadł już dwa dni.

Odejdź od moich drzwi.
Mogę powiedzieć szczerze:
w tym domu na parterze
kolację dadzą ci.

Odejdź od moich drzwi.
Ty jesteś głuchoniemy.
Wciąż jemy, jemy, jemy —
chleb nam się w nocy śni.

Idź już, mój bracie — idź.
Ty jesteś niewidomy.
Obszary zbóż bez słomy
znów będą ci się śnić.

Albo masz tu ten chleb.
To wszystko. Nie mam więcej.
Nakarm tem pięć tysięcy.
Ja idę w czystość nieb.

— — — — — — — —

Wiesz co? — Z mej duszy lic
ideał zdrap — cholero.
Bo to jest wszystko zero.
Bo to jest wszystko nic.

Depresja.

Niesamowity chaos życia
skondensował się w duszy sponiewieranej.
Otwórzcie bramy!
Niech wyjdę na świat o świcie!

Puśćcie mnie wolno na łąkę!
Chcę dotknąć stopniami rosy,
paść niebu w ramiona
i spić się strumieniem słonka,
co spływa mi w usta ukosem!

Amen.

Niech będzie. Niech tak się stanie.
I tak nic zmienić nie można.
Życie popłynie dalej. Wszystko na nic.
Zepchnij mnie z okna na dół . . . . .

Adam Marcinkowski, Lublin

BUDOWNICTWO WODNE W POLSCE

Omówienie potrzeb i projektów, dotyczących regulacji rzek, budowy kanałów, zasilenia Wisły i odciążenia z masy wód kotliny Polesia, rurociągu górnośląskiego, możliwości elektryfikacyjnych, oraz kwestji częściowego osuszenia zatoki puckiej.

Stara Rzeczypospolita, doceniając u swego schyłku, w XVIII stuleciu, niepowszednią wartość traktów wodnych, podjęła budowę dzieł kapitalnych, jak kanał królewski, łączący systemat Wisły z systematem Dniepru i kanał augustowski, wiążący dorzecze Niemna z dorzeczem Wisły. Równocześnie Ogiński przekopał kanał Szczara—Jasiołda (tworzący drogę wodną Niemen—Dniepr). W ten sposób powstała sieć dróg wodnych na naszych ziemiach wysiłkiem wyłącznie własnym stworzona.

W okresie zaborów Prusacy wybudowali kanał bydgoski, uregulowali dolną Wisłę, Noteć i Wartę. Austrjacy częściowo ubezpieczyli i uregulowali górną Wisłę i rzeki podkarpackie. Rosjanie odeszli, nie pozostawiając na terytorjach Kongresówki żadnego pomnika swej myśli i pracy w tej dziedzinie. Jedynie na Polesiu rozpoczęli budowę szeregu kanałów odwadniających (akcja gen. Żylińskiego w r. 1872). Otrzymaliśmy zatem spuściznę na obszarach 2/3 kraju w pełni prymitywizmu, gdzie pracę należy rozpocząć od elementarnych początków.

REGULACJA RZEK W B. ZABORZE ROSYJSKIM.

W dziedzinie regulacji rzek, by umożliwić ich prawdziwą eksploatację, jako dróg komunikacyjnych, leży odłogiem (jak wskazano wyżej) cały zabór rosyjski. A więc poczynając wyliczenie od zachodu, winny w pierwszym rzędzie być uregulowane: górna i środkowa (częściowo) Warta wraz z Prosną i Nerem; lewy brzeg Wisły od Proszowic do Zawichostu; oba brzegi Wisły od Zawichostu do Złotorji (pod Toruniem); lewe dopływy Wisły: Nida, Kamienna, Pilica i Bzura; prawe dopływy tejże rzeki: Wieprz, Bug, Narew z Biebrzą i Wkrą; oba brzegi Niemna w ciągu jego biegu przez terytorjum nasze wraz z dopływami Szczarą i Berezynką (w tej samej sytuacji znajduje się Wilja z Żejmianą i Naroczą), następnie lewy brzeg Dźwiny (stanowiący granicę Polski) wraz z lewym dopływem tej rzeki Dzisną. I wreszcie Prypeć z lewemi dopływami: Piną, Jasiołdą i Lanią i prawemi: Turją, Stochodem, Styrem, Horyniem - Słuczą i Lwą.

SYSTEMAT KANAŁÓW KUJAWSKICH.

Nie jest rzeczą obojętną, by na tem miejscu podkreślić potrzeby w dziedzinie budowy kanałów, celem powiązania sieci wodnej. Kluczową i odrębną pozycję zajmuje tutaj systemat projektowanych kanałów kujawskich, przecinających obszar między Wartą a Wisłą. Omówimy je poszczególnie. Pierwszy z nich to połączenie Warty (pod Koninem) przez łańcuch jezior ślesińskich z Notecią, a przez nią z Gopłem, Odwieczny to szlak: tędy szli kupcy rzymscy po bursztyn bałtycki. Drugi ma połączyć przekopem Gopło z korytem rozszerzonym Zgłowiączki, by przez Lubraniec, Brześć Kujawski — uzyskać połączenie z Wisłą nieco poniżej Włocławka.

Oba razem stworzą ogniwa magistrali węglowej przy założeniu regulacji Warty — od mostu kolejowego na szlaku Częstochowa—Radomsko (stacja przeładunkowa z kolei na wodę).

Trzeci kanał wreszcie z tej grupy winien połączyć Bzurę z Nerem na wysokości Łęczycy, wiążąc szlakiem wodnym Wielkopolskę z Mazowszem.

BAŁTYK — MORZE CZARNE.

Dalej dla odciążenia transportów kolejowych z trzech zagłębi kwestją otwartą byłaby budowa kanału, łączącego Wartę z Pilicą celem przerzutu tych transportów na niezmiernie tanią drogę wodną (przynajmniej częściowo). Jako podstawa innych planów służy stary, pamiętający czasy zaborcze, projekt połączenia kanałem Sanu (koło Radymna) przez jego dopływ prawy Wisznię, dalej przekopem (od Mościsk) do rzeki Strwiąż — z Dniestrem. Znaczenie gospodarcze tego planu tkwi w możliwościach spławiania wodą produktów naftowych z zagłębia borysławskiego w głąb kraju. Kanał ten ponadto łączyłby najkrótszą drogą Bałtyk z Morzem Czarnem (przez Wisłę — San — kanał — Dniestr). Kwestja ta na dalszą metę nie wydaje się być godną poważniejszych badań przy eksploatacji, i sądzić należy, zostanie zawsze momentem ubocznym przy uzasadnieniach.

KANAŁ NA POLESIU.

Ostatnio wreszcie wpłynął na forum życia projekt budowy kanału na Polesiu, łączącego Lwę przekopem ze Słuczą i Horyniem, a następnie drugim przekopem dochodzącym wprost do ujścia Styru do Prypeci. Zadaniem tego kanału byłoby obsłużenie: 1) kamieniołomów w Klesowie (pow. Sarny), leżących dalej na południu, 2) znanych kamieniołomów w Janowej-Dolinie nad Horyniem i poprzez Słucz, 3) szlamiarni glinki kaolinowej w Dermance (pow. Kostopol), oraz 4) stworzenie dogodnego połączenia wodnego Pińska z Zasłuczem.

ODWODNIENIE POLESIA.

Ponadto wszystko, co zostało powiedziane, osią zainteresowania jest Wisła, jako kręgosłupowy szlak państwa. Prócz regulacji tej rzeki w biegu środkowym (o czem była już mowa) powstaje aktualna kwestja zasilenia stanu wód, by podnieść możliwości nawigacyjne i transportowe. Nie trzeba podkreślić nadto zrozumiałych walorów i przewagi żeglugi nad innemi środkami komunikacyjnemi. Istnieje już projekt (inż. Teoplitz) złączenia w basen jezior, położonych między Włodawą i Szackiem ze Świtezią Wołyńską na czele — w jeden zbiornik główny, zasilający. Koncepcja ta wydaje się być w pełni uzasadnioną. Według danych z pracy „Szczegółowy podział dorzecza Prypeci" (wydawnictwo ministerstwa komunikacji — państwowa służba hydrograficzna w Polsce) zwracają uwagę tereny bifurkacyjne Polesia.

Zjawisko dwukierunkowego spływu wód (bifurkacja) znajduje swój najbardziej charakterystyczny wyraz w bezpośredniej łączności dorzeczy Orinoko i Amazonki w Ameryce Południowej (przykład szkolny). W Polsce (według pracy powołanej) szczególniej interesująco zazębiają się ze sobą dorzecza prawych (południowych) dopływów Prypeci: Styru, Stochodu, Turji i Wyżwy. Rzeki te, niosące gros wód do kotliny głównej Polesia, uniemożliwiają wprost prowadzenie prac osuszających tego terytorjum, na skalę odpowiadającą potrzebom. Ostatni nasz wielki prawy dopływ Prypeci — Horyń został już odciążony częściowo z rezerwuaru swych wód przez spuszczenie kanałem wód Słuczy — Wołyńskiej (jego dopływu) do Uborci, dokonanej przez Sowiety.

Wracając do problemu Styru, Stochodu, Turji i Wyżwy — to wynika, że drogą stosunkowo niewielkich kanałów, przekopów, zapór i przepustów zdołałoby się odwrócić bieg wspomnianych rzek, włączyć je do systematu Wisły, zasilić poważnie jej stan posiadania (o co nam głównie chodzi) i odciążyć Polesie z nadmiaru wód. Moment strategiczny wydaje się być w pełni zabezpieczonym — przepustami bowiem każdej chwili można spowrotem zwrócić wody w kierunku pierwotnym i zalać ponownie Polesie. (Wzór: akcja Belgji w sierpniu 1914 r. — zatapianie własnych terenów, by uniemożliwić marsz najeźdźcy).

Szczegółowo (nie wdając się jednak w specjalne obliczenia techniczne) rzecz przedstawia się następująco. Zagadnienie w porządku schematycznym wypadnie rozpatrywać od Styru. Pod Sokułem (w powiecie łuckim na Wołyniu) wpada od Styru od zachodu drobny dopływ Lutyca, która w odległości 7½ km od ujścia swego płynęła bifurkacyjną doliną Stochodu (w odległości odeń o ½ km). Gdybyśmy na chwilę założyli, że na Styrze (pod Sokułem) zbudowany jest przepust zamknięty — wody tej rzeki zmuszone zostałyby skierować się Lutycą i przekopem do Stochodu (różnica poziomów minimalna).

Stochód, otrzymawszy wody Styru, płynie swym korytem dotychczasowem do momentu przejścia granicy województw wołyńskiego i poleskiego pod wsią Stobychwa, gdzie otrzymuje z lewej strony dopływ tej samej nazwy, co wskazana miejscowość. Stobychwa łączy się u źródlisk na bifurkacyjnej nizinie z prawym dopływem Turji — Durnicą. Drugi przepust zamknięty na Stochodzie pod Stobychwą.

Połączone wody Styru i Stochodu płyną na zachód poszerzonemi łożyskami Stobychwy i Durnicy do Turji (gdzie uchodzą pod Niesuchoiżem — linja kolejowa Kowel — Kamień Koszyrski). Turja znakomicie wzmocniona w wody (Styru i Stochodu) po biegu w swym starym łożysku uchodzi do Prypeci. Tuż poniżej jej ujścia (na Prypeci) nowy przepust zamknięty kładzie tamę wodom, zdążającym na wschód, a kanał o kierunku północno-zachodnim odprowadza je do Muchawca.

W ten sposób Muchawiec przerodzi się ze skromnego dopływu Bugu — w dużą rzekę, mającą właściwe swe źródliska około Podhorzec, w powiecie złoczowskim (woj. tarnopolskie) — gdzie leżą dzisiejsze źródła Styru. Zaś dorzecze Wisły zostaje wzmocnione o obszar dwudziestu kilku tysięcy km², a Polska uzyskuje potężną magistralę wodną Muchawiec — Bug — Wisła. Niebezpieczeństwo jednak masy wód przy roztopach wiosennych nie wydaje się być w pełni zabezpieczonem — chociaż wskazanemi przepustami na Styrze (pod Sokołem), na Stochodzie (pod Stobychwą) i na Prypeci (poniżej ujścia Turji) część żywiołów może zawsze znaleźć drogę w pierwotnych łożyskach.

I teraz właściwie wyłania się potrzeba zbiornika, o którym mowa była na początku niniejszej kwestji. Analiza terenu wskazuje, że należy dodatkowo na Turji wybudować przepust w miejscu jej skrętu na północ, po biegu północno-zachodnim od Niesuchoiża (mniejwięcej o 2 km na południe od równoleżnika, oznaczonego cyfrą 51° 30' — przecinającego koryto rzeki), gdyż w okolicach tych wzdłuż zachodniego brzegu Turji rozciągają się na szerokości kilkunastu kilometrów bagna bifurkacyjne, sąsiadujące bezpośrednio z Wyżwą.

Kanał przez te moczary przeprowadzony odprowadzi część wód zgromadzonych ze Styru i Stochodu w łożysku Turji do Wyżwy — jest on konieczny dla rozstrzelenia wód. Wyżwa w swym dalszym biegu wkracza na podmokłą nizinę. W tem miejscu winna zostać zamknięta zapora stałą, a wody jej spuszczone krótkim kanałem do górnej Prypeci.

Na Prypeci nowa zapora zmusi wody do wkroczenia do kanału odprowadzającego do basenu zasilenia, stworzonego z jezior Świtezi, Pulmo i in. Kanał odprowadzający winien przebiegać między górną Prypecią, a górnym Muchawcem. Następnie przekop ze śluzą regulacyjną w każdej chwili może odprowadzić wody (według potrzeb) ze zbiornika bezpośrednio do Bobu (koło Włodawy). Należy dodać, że z basenu istnieć już będzie naturalny odpływ na Rytę (dopływ Muchawca). Druga śluza regulacyjna problem tego odpływu ograniczy do minimum — Muchawiec bowiem otrzymałby już poprzednio wody z systematu Styr — Stochód — Turja. Summarium robót związanych z przedstawioną kwestją przewiduje zatem z prac ziemnych w terminie dogodnym (nizinnym, bez poważniejszych wzniesień): rozszerzenie koryta Lutycy na przestrzeń — 7½ km; przekop Lutyca — Stochód — ½ km; rozszerzenie koryta Stobychwy — 15 km; rozszerzenie koryta Durnicy — 11 km; kanał Muchawiec — Prypeć — 12 km; kanał Turja — Wyżwa — 18 km; kanał Wyżwa — Prypeć — 7 km; kanał odprowadzający Prypeć — Zbiornik — 33 km; kanał Zbiornik — Bug — 3 km. Budowę: 3 przepustów zewnętrznych na Styrze, Stochodzie i Prypeci; 1 przepust wewnętrznego na Turji; 2 zapór stałych na Wyżwie i Prypeci, i wreszcie 2 szluz regulacyjnych na kanale Zbiornik — Bug i Zbiornik — Ryta. Nie kusząc się ani na chwilę o wyczerpanie tego frapującego tematu w niniejszym szkicu — chodzi o podkreślenie wartości zagadnienia, które w programie robót publicznych jutra zajmie obok regulacji rzek jedno z poczesnych miejsc.

PROBLEM ZASILENIA W WODĘ ZAGŁĘBIA GÓRNOŚLĄSKIEGO.

Odrębnym zagadnieniem w dziedzinie budownictwa wodnego jest problem zasilenia w wodę zagłębia górnośląskiego. Jest to sprawa niezmiernej ważkości. Faktem jest, że główny rurociąg, czerpiący wodę z Odry dla Katowic i Chorzowa itd. (zbudowany przed wojną przez Prusaków), biegnie częściowo przez terytorjum niemieckie. Korzystanie zeń mamy zagwarantowane konwencjami. Pomimo wszystko stan rzeczy przedstawiony jest anormalny. Trzeba myśleć o wyjściu z tego paradoksalnego impasu. Rozwiązania szukać należy w tuż obok płynącej górnej Wiśle, względnie nawet ciągnąć wodę z wykończonego obecnie zbiornika w Porąbce na Sole.

SPRAWA WYZYSKANIA SIŁ WODNYCH W POLSCE.

Ściśle wiążącą się sprawą z niniejszym tematem jest wyzyskanie sił wodnych w Polsce. Szacują te siły na 3.700.000 KM., w tem najlepszej kategorji 2.200.000 KM. — a wyzyskanych w postaci siły i światła tylko 100.000 KM. (dane z r. 1934). Otwarcie elektrowni w Porąbce (na Sole) i w Rożnowie koło Nowego Sącza (na Dunajcu) należy sądzić poprawi ten stosunek odpowiadający conajmniej Azji.

ZAGADNIENIE ZATOKI PUCKIEJ.

Obok tylu rzeczy, których nie sposób omówić szczegółowo, na uboczu niejako stoi sprawa zatoki puckiej. W roku 1921 został wysunięty plan częściowego jej osuszenia, jako bezwartościowej gospodarczo i celem poszerzenia naszego stanu posiadania nad morzem.

Projekt przewidywał budowę tamy głównej od miejscowości Rewa na lądzie wzdłuż piaszczystego przeladka Szpyrk, a dalej przez morze (około 12 km) do góry Libek (wysokość 13,3 m.) na półwyspie helskim (pomiędzy Kuźnicą a Jastarnią). W biegu przez morze tama przechodziłaby przez t. zw. Dypkę (głębokość maxymalna 5 m.) — następnie ławicą podwodną, częstokroć wyzierającą ponad powierzchnię wód w postaci t. zw. Ryfu Mew. Tama wskazana odcięłaby szmat morza małego (zatoki puckiej) o obszarze około 150 km², który powoli mógłby być zamieniony na Poldery.

Hilary Majkowski, Poznań

Teka Śremska Worsztynowicza

Zagadnienie, dotyczące umiejętnej konserwacji i inwentaryzacji zabytków ziem zachodniej Polski, utkwiło u nas na martwym punkcie. Sprawa ta nie może być wcześniej załatwiona, dopóty nie przystąpimy do zabezpieczenia zabytków naszych, prac rejestracyjnych, ilustracyjno-fotograficznych, wykresowych etc. — i to metodą nowoczesną. Coprawda, przedsięwziął poznański urząd konserwatorski przy województwie pewne w tej dziedzinie kroki, atoli skończyło się na zinwentaryzowaniu jednego, czy dwóch powiatów wielkopolskich, na zachodnich rubieżach położnych.



Feliks Worsztynowicz — Kościół farny w Śremie. Litografja z „Teki Śremskiej".

W dziedzinie publicystycznej natomiast wzmógł się w ostatnich paru latach dość poważnie w regjonie wielkopolskim ruch wydobywania na światło dzienne zasłużonych postaci, zamierzchłej przeszłości i życia kulturalnego tej dzielnicy. Coraz to liczniejszym szeregom tych pracowników przyświecają dwa cele: pierwszy to praca z umiłowania dziejów ojczystych wynikająca, która już przed wiekiem zapladniała pióra Libeltów, Raczyńskich, Moraczewskich, Mottych i Łukaszewiczów, później Jarochowskich, Neringów, Karwowskich i w. in. Druga rzecz to pozostawienie młodemu pokoleniu historji kulturalnej przeszłości tej ziemi, która przecież jest kolebką kraju i poszczycić się może szeregiem zasłużonych mężów we wszystkich dziedzinach naszego życia.

Powie może ktoś, dlaczego jednak do spraw regjonalnych Wielkopolski zabrano się tak późno? Co było przeszkodą itd? Otóż w pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości za dużo było innej pracy, związanej z organizacją tej dzielnicy, jej potrzebami i bolączkami. To jedno. Druga sprawa to ta, że trudności nielada piętrzyły się naszym regjonalnym pisarzom w odnajdywaniu pism, któreby prace ich z tej dziedziny publikowały.

To też z całą radością witać należy każdą publikację odnoszącą się do spraw ziem zachodnich. Niemałą rolę przypadło w udziale — w tej pracy popularyzacyjnej — sztukom graficznym. W tej dziedzinie czarno-białej sztuki wymienić tu możemy szereg pięknych i wartościowych wydawnictw, które oby było bodźcem do dalszych prac na tem polu. Takiemi dokumentami architektonicznemi są cztery dotąd wydane teki litografji prof. Wiktora Gąsienieckiego, pt. „Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej", grafika z tematami miast wielkopolskich: Romualda Bogaczyka (motyw z Leszna), Henryka Czamana (Kujawy), Idczaka (Kórnik), Konwerskiego (teka „Fara pozn."), Juljusza Majerskiego (teka „Z dawnego Poznania") Mondrala (Bydgoszcz i okolica), Lanżanki (Toruń), Osseckiego (teka Żnin), Rudy'ego (Poznań I. i II.), Światopełk-Słupskiego, Wronieckiego (Gdynia, G. Śląsk, Wielkopolska), Tatuli (Poznań, Gniezno, morze polskie), Kuglina, Czesława Borowczyka („Grodzisk w grafice") i w. in. Bibljografja artystyczna wzbogaciła się teraz o dalszą „Tekę Śremską", dzieło młodego malarza i grafika Feliksa Worsztynowicza.

Autor jej jest uczniem poznańskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych, gdzie kształcił się na kursach dyr. Fryderyka Pautscha i prof. Wiktora Gosienieckiego. Po ukończeniu studjów pracuje szereg lat w dziedzinie malarstwa scenicznego (Grudziądz, Toruń), ostatnio w poznańskim Teatrze Nowym, gdzie inscenizacjami Szekspira („Sen nocy letniej") Mereżkowskiego („Car Paweł"), „Ludzi w hotelu" — Vicki Baum i w. in. zyskał przychylność i uznanie krytyki i publiczności. Niemniejsze powodzenie odniósł w malarstwie sztalugowem, w którem mimo pewnych założeń dekoracyjnych — wynikających z paruletniej pracy scenicznej — gra pięknie radosna gama barw, szczególnie w jego olejnych pejzażach i martwych naturach. Wystawia od kilku lat, z liczniejszą kolekcją wystąpił w latach 1933 (z grupą „Twór"), 1934 (wystawa własna w pozn. Instytucie Krzewienia Sztuki) i 1935 (Ruchoma wystawa artystów-harcerzy i jubileuszowa Szkoła Sztuki Zdobniczej w Poznaniu w dziale absolwentów).

Na siedmiu planszach, odbitych w litografji, przedstawia Worsztynowicz niejako historję swego rodzinnego miasta, — Śremu — sięgającego założeniem zamierzchłych czasów osiedla, położonego na lewym brzegu Warty, w okolicy dzisiejszej wsi Pyszący. Tak jak czterdziestoletnim kolekcjonerstwem Feliksa Sałacińskiego, właściciela śremskiego Muzeum Regjonalnego, kierowała miłość ziemi rodzimej, tak Feliksa Worsztynowicza pobudziła ona przy utrwaleniu tych widoków, nazbyt drogich każdemu ziomkowi tej ziemi.



Feliks Worsztynowicz — Barokowa M. B. na rynku w Śremie. Litografja z „Teki Śremskiej".

Kompromitująca konfrontacja

„Czas" niedawno dał zestawienie niektórych ustępów z artykułu Zofji Starowieyskiej-Morstinowej pt. „Człowiek wojny i pokoju" z pewnemi miejscami świeżo wydanej książki Jalu Kurka „Woda wyżej". Zestawienie to jest kompromitujące dla tego autora, który dosłownie przepisał myśli wymienionej publicystyki. Jest to rzecz o tyle poważniejsza, że nie chodzi tutaj o jakieś reminiscencje artystyczne, ale o stronę intelektualną, o stronę, która ma ujawnić samodzielny światopogląd autora. Więc, gdy się okazuje, że oryginalne, i bardzo ciekawe i istotne enunciacje wcale nie są własnością autora, wtedy jego dzieło dziwnie nam w oczach blednie, traci na wartości. To też usprawiedliwienie się Jalu Kurka w tymże „Czasie" nie bardzo przemawia do przekonania:

> „Nie przypominam sobie artykułu p. Starowieyskiej - Morstinowej; niemniej atoli konfrontacja dowodzi, iż rzeczywiście na surowo przyswoiłem dla Makary poglądy myśliciela niemieckiego (ks. Rademschera), oraz pani Morstinowej. Jest to przeoczenie zeszytowe. Przecież to jest moja teza, wykładana na każdej stronie, której na drobnym odcinku kilku zdań nie wyraziłem własnemi słowami. A przyszłoby mi to tak łatwo, gdybym wiedział, że to nie moje słowa są zapisane w zeszycie!
>
> Oczywiście przeoczenie. W książce, kilkakrotnie przerabianej, w której należało się uporać z balastem statystyk, ankiet, urzędowych wykazów, inżynierskich dociekań, powodziowych obliczeń, teoretyczne i podbudowy — ta niemiła przypadłość byłaby nawet poniekąd zrozumiała. Ale w żadnym wypadku nie ma znaczenia zasadniczego".

Konfrontacja, jaką zrobił „Czas", rzuca, sądzimy, pewne światło na powieść — „Grypa szaleje w Naprawie". Przecież najpoważniejszą słabością tej książki, co zresztą wykazała dostatecznie krytyka był brak odpowiednio skrystalizowanej i wyrobionej postawy filozoficznej autora. To zaś pociągnęło w następstwie wady estetyczno-literackie „Grypy". A. R.

Kazimierz Halaburda, Łódź

A zatem konfiskata...

„Zmory“ Zegadłowicza uległy konfiskacie. Fakt ten, objektywnie biorąc, nie dziwi nas — bowiem forma owej powieści jest nazbyt „swobodna“, a treść upiorna. Jednak . . .

Jednak „Pożegnanie jesieni“ i „Nienasycenie“ Ignacego Witkiewicza, poniektóre powieści Ireny Krzywickiej, a zwlaszcza jej artykuły, świeżo przetłumaczona powieść Lewrance‘a, skwapliwie przez Boya przełożony Brantôme nie wiele ustępuje „Zmorom“ — bardzo nie wiele. A jednak nie uległy konfiskacie. Oczywiście można powiedzieć sobie: nareszcie zaczęło się. I przejść do porządku dziennego z nadzieją, że wreszcie cenzura wzięła się do pornografji okrytej płaszczykiem sztuki. Można i tak, lecz można też zadać sobie pytanie, czemu właśnie Zegadłowicz . . .

Przedewszystkiem, jaką wartość mają „Zmory“?

Jako studjum psychologiczne „Zmory“ mają znaczenie niemałe. Dla badacza zboczeń na tle erotycznem aż do kaprolalji włącznie jest to bardzo obszerny i dosyć ciekawy materjał obserwacyjny.

Nie można sobie upraszczać zagadnienia przez stwierdzenie, że Zegadłowicz zapragnął na stare lata łatwej sławy i zdobył się na „Zmory“. Przedewszystkiem są one pisane z taką pasją, że trudno uwierzyć, aby był to podrobiony utwór — „Zmory“ tkwiły w autorze przez te całe lata, w ciągu których płodził on „Lampki oliwne“ i przeróżne „powsinogi“. Również nie mają racji ci, co twierdzą, że dopiero teraz Zegadłowicz pokazał właściwe swe oblicze, że tamto wszystko było „do pucu“ — „kant“ obliczony na zjednanie sobie sympatji sfer katolickich. W Zegadłowiczu tkwiły obie te rzeczy — przez lata pracy w zupełnie innym kierunku usiłował w sobie zdławić to, co się jednak zdławić nie dało i ostatecznie wydarło się na zewnątrz jako „Zmory“. Tamta część twórczości była właśnie próbą zabicia zmory, pokonania jej przez odejście w inny świat. Zegadłowicz jest głęboko nieszczęśliwym człowiekiem . . . „Zmory“ po „Lampce oliwnej“ dowodzą, że autor obu tych, tak różnych utworów jest omal nie somnambulikiem — to prawie rozdwojenie osobowości. Jednak nas i to nie wiele obchodzi — jest to sprawa prywatna Zegadłowicza i materjał dla specjalistów, badaczy procesów twórczości artystycznej i psychopatologów.

Największą wartość mają „Zmory“ jako dokument społeczny w artystcznem ujęciu. To, czego wielu nie zrozumiałoby w formie studjum politycznego, czy dyssertacji naukowej, Zegadłowicz podał w formie łatwostrawnej, bo powieściowej. „Zmory“, być może, mimo woli autora, są odpowiedzią na pytanie, skąd się w Polsce wzięła „galileia“.

Bo przecie nie każdy, kto pochodzi z południowo - zachodniej Małopolski jest „galileuszem“. Małopolska stworzyła wielę niezwykle dodatnich postaci i typów nawet. Lecz tylko tam wylągł się i ten typ specyficzny „galileusza“, jak kierz szerzący się dziś po Polsce. Gdzie tam?

Właśnie w małych miasteczkach K. und K. Galicji i Lodomerji, w sferach drobnych (i grubszych) urzędniczków, na tej żyznej glebie cesarsko - królewskiej biurokracji i małomiasteczkowej beznadziejnej kołtunerji. Dziadek był mandatarjuszem, ojciec koncypjentem, a syn . . . Wszyscy go znamy. I dlatego właśnie „Zmory“ są tak beznadziejne. Bo gdy chodziło o jakieś studjum powieściowe z życia zboczeńców-erotomanów, nie wstrząsałoby to nami tak do głębi. Lecz my wszyscy świadomie czy nieświadomie odczuwamy „Zmory“ jak coś znajomego, coś spotykanego na każdym kroku . . .

I nie to jest straszne, że chłopak cały swój młody świat zacieśnia do duszących ram delty sexus‘u, lecz to, że wyrywając się do innego życia, nic nie znajduje właśnie poza tem. W ciągu długich lat tylko tem nasiąka i gdy wreszcie wyrwie się z potwornego kręgu gdy spróbuje zapalić lampkę oliwną i przy jej blasku szukać innych prawd i spraw, znajdzie jeno martwe, papierowe twory — przedwcześnie poronione marzenia młodości, których nic już nie zdoła ożywić, które miną bez echa. Bo krew serdeczną tych marzeń wyssały zmory małego miasteczka i K. und K. biurokracji.

Aby zrozumieć dzisiejszą polską rzeczywistość, trzeba poznać biurokrację i jej genezę. Ale „Zmory“ uległy konfiskacie . . .

Echa literackie w prasie

Koniec Marcelego Prousta

Autor najlepszej książki o Marcelim Prouście Léon Pierre - Quint, wydał ostatnio broszurę, w której zwierza się z wrażeniami jakie odniósł z ponownej lektury Prousta, nieczytanego przezeń już od 10-ciu lat. Rzecz niesłychanie znamienna entuzjasta autora „A la recherche du temps perdu“ wyszedł z tego nowego zetknięcia się z pisarzem, jako o wiele mniejszy jego wielbiciel. Ten dystans, jaki wytworzył się między Proustem a Pierre - Quint‘em nie pozostaje bez związku, przypuszcza słusznie recenzent „Le Temps“, z nastrojami nowego pokolenia i jego krytycznym stosunkiem do tego najlepszego psychologa. Wpłynął na to w pewnym stopniu komunizm rosyjski, który, całkiem naturalna rzecz, wcale nie gustuje w tym najwyższym wyrazie literatury „burżuazyjnej“. Lecz — pisze „Temps“ —wielu młodych ludzi u nas nie potrzebuje wcale być komunistami, by przyznać się, że Proust nie uspokaja wcale potrzeb ich nowej duszy ani nie daje odpowiedzi na jej niepokoje“. Sam zaś monografista Prousta zmuszony jest dzisiaj wyznać, że Proustowi głęboko nie dostawało uniwersalności, nie interesował się wcale kwestją społeczną, ignorował lud, sam był wyznawcą dość niemiłego konformizmu. Wojna jest u niego np. na ostatnim planie, nie była dlań niczem innem, jak tylko okazją do nowego głębokiego i osobistego wzruszenia. Dla dzisiejszej generacja Proust jest tylko świadkiem „un peu plus daté“, przeszłości. Tutaj leży zasadnicza przyczyna rozłąki między nowa generacją a Marcelim Proustem.

Wszakże recenzent z „Le Temps“ dodaje, że tu bynajmniej nie chodzi o Prousta jedynie. On jest tylko sposobnością i symbolem. Dzisiejsi młodzi ludzie mogą cenić jego talent, nowość jego wysiłku, odwagę poruszonych tematów, jako a-konformizm seksualny, głębię jego spojrzeń na wielorakość i ogrom niepokojów psychologicznych i moralnych, dotychczas ukrytych i strzeżonych. Nic innego tylko to właśnie jest istotą owego rozdziału. Pierre - Quint widzi dobrze, że **koniec Marcelego Prousta to koniec sztuki, która pozwala na odnajdywanie czasu.** To jest koniec estetyki filozofa. Sprawa dla młodego pokolenia jest prawie dramatyczna. Dla niej najważniejszem jest to, czy znajdzie w świecie takim, jakim się stał, miejsce dla siebie, gdzieby mogła zrobić użytek ze swojej siły, i ze swej racji bytu. Sztuka w obliczu tego niepokojącego problemu, sztuka najbardziej głęboka i podniosła, musi schodzić na drugi plan. Sztuka Prousta była w najwyższym stopniu bezinteresowna, jej celem ostatecznym było najpełniejsze poznanie człowieka. To jest przedmiot całej sztuki klasycznej z Balzakiem razem, którego Proust jest może najwyższą kwintesencją. Dzisiaj wskutek przeobrażenia się świata młodzież o wiele mniej zajmuje się zagadnieniem, kim jest człowiek, niż zagadnieniem, co będzie jutro jadla. Oto, dlaczego literatura znajduje się w tak ciężkiem położeniu, i to nietylko literatura proustowska!

Pisarz, który nie dbał o sławę

Zmarł w Paryżu powieściopisarz i dramaturg Leon Hennique, przewodniczący i jeden z założycieli Akademji Goncourtów. Twórczość tego pisarza należy do minionego wieku. Prasa francuska snuje przypuszczenia na temat wyboru nowego członka Akademji Goncourtów i wysuwa kandydatury: Andre Suares‘a, Tristana, Bernarda, Colette i innych.

Léon Hennique był bardzo ciekawą osobistością. Jako pisarz należał do kierunku naturalistycznego, choć jego naturalizm daleko odbiegał od sztuki Zoli. Zajmował się również okultyzmem. J. H. Rosny, przewodniczący Akademji Goncourt‘ów opisuje w ostatniej „La Vie“ swoje wspomnienia o autorze „Houts Foits de M. de Panthau“. Uderzająca była niedbałość tego twórcy o losy swych książek i o swą reputację pisarską. Można mu było przypisywać różne style i właściwości.

„Hennique nie protestował. Pozwalał mówić. Pozwalał tak mówić w ciągu całego swojego życia, nie mając najmniejszej skłonności do rewindykowania tego, co mu się należało. Nie spotkałem nigdy żadnego pisarza, któryby tak mało interesował się losem swych dzieł. Nigdy o nich nie mówił ze swymi interlokutorami, i ktokolwiek ujawnił ich całkowitą nieznajomość, ten nie dowiedział się nigdy o ich istnieniu z ust autora.

Taka postawa mało nadaje się do szerzenia reputacji pisarza; milczący Hennique znany był tylko szczupłej publiczności, wszakże elita znala się na jego talencie.

„Zresztą, w dobrej porze, zaprzestał całkiem publikować. Nie przekroczył jeszcze lat dojrzałych, gdy usunął się w swoją samotność, w owych czasach drożdżowania literatury, mogło to sprawić całkowite zapomnienie o jego dziele. Nie dlatego bynajmniej, by publikacja szczupłej liczby książek szkodziła koniecznie reputacji pisarza, lecz trzeba, by autor nie zaniedbywał jej. Ludzie tak bezinteresowni jak Baudelaire, Barbey d‘Aurevilly, Malarmé, Villers de l‘Isle Adam, Hérédia, umieli zdobyć dla siebie uznanie i zgromadzić wiernych, którzyby szli rozszerzać ich dobre imię. Hennique sam zaś objawiał szczególną obojętność. Oto, jak ponoć odpowiedział na pewien wywiad, gdy go pytano się, jaka jego książka podoba mu się najwięcej:

— Nie lubię żadnej!

— A jaka odniosła największy sukces?

— Najgorsza . . .

Jako człowiek zniewalał swoją postawą, doskonałą godnością swego życia, swoją prawością, wiernością i bezinteresownością.

„. . . Wierzył w świat inny, nie mając żadnej ściśle określonej wiary.

— „Czyż życie nie jest jednym ustawicznym cudem? — mówił mi jeszcze w czasie mej jednej z ostatnich wizyt. W czem jakieś „nadżycie“ może być bardziej niezwykle, niż życie samo? Dlaczegóż nie miałoby być istnień niewidzialnych, które mogą czasami objawiać się nam w ludzkim kształcie? Ze swej strony wierzę w to i mam na to stanowcze dowody.“

Relatywizm – tak, ale tylko relatywizm rzeczywistości, nie prawdy

Krytycy określają zasadniczą postawę Zofji Nalkowskiej wobec świata jako postawę relatywistyczną. Szczególnie niepokojącą postać przybrał ów relatywizm w „Domu kobiet“, w którym to dramacie każda z bohaterek przedstawia świat zamknięty dla siebie, nieświadomy siebie i niezdeterminowany świat, który ma ciągłą dyspozycję do przybrania zupełnie nieoczekiwanego kształtu. Ciekawe jest z tego względu, co sądzi sama Nałkowska o swym relatywizmie. W rozmowie z przedstawicielem „C z a s u“ powiada ona:

„Niektórzy krytycy przypisują mi postawę relatywistyczną. Mogę na nią przystać, ale pod warunkiem, że się to pojęcie oczyści z elementów wartościowania metafizycznego. Relatywizm? — tak, ale taki, który implikuje nie wielopostaciowość prawdy (bo i prawdę należałoby zdefinjować), lecz w i e l o r a k o ś ć r z e c z y w i s t o ś c i. I to wielorakość rzeczywistości, pojmowaną nie w sposób zewnętrzny, lecz aktywnie, z uwzględnieniem zasady przelewności.

— ? . . .

Przelewność, to proces przechodzenia od rzeczywistości do rzeczywistości, właściwa każdemu z nas zdolność uruchamiania w sobie zespołu wzruszeń i odczuć, zestrojonych z danym układem realności. Każdy z nas żyje w paru rzeczywistościach naprzemian, podporządkowując się coraz to innym dominantom. Nie wynika stąd, aby wszystkie te rzeczywistości były równorzędne — nie; jedna z nich może i powinna mieć charakter nadrzędny, może i powinna być tą strefą, gdzie realizujemy się, albo chcielibyśmy się zrealizować najpełniej.

— Sądząc na podstawie „Granicy“, tę rzeczywistość nadrzędną widzi pani w rzeczywistosci społecznej, jej wyznacza pani funkcję normatywną. A więc przezwyciężenie relatywizmu?

— Tak, klucz „Granicy“ i, jeśli pan chce, moment przezwyciężenia relatywizmu, tkwi w myśli Ziembiewicza: „I to, czem jesteśmy dla ludzi, jest ważniejsze, niż to, czem jesteśmy we własnych oczach“. To co nas określa, to miejsce, jakie zajmujemy w schemacie społecznym, odległość jaka dzieli punkt indywidualności ludzkiej od osi koordynat socjalnych. W omówieniach krytycznych „Granicy“ dużo miejsca zajmują rozważania na temat współzależności dwu członków: wewnętrznego widzenia siebie jednostki i jej aspektu widzianego oczami społeczeństwa. Niewątpliwie, powieść jest próbą wytyczenia granicy między temi członkami i próbą oddania dialogu, jaki toczy się między niemi poprzez linję graniczną. Ale nikt, zdaje się, nie zauważył, że konflikt nabiera właściwej mocy, kiedy od zewnątrz przesuwa się do wewnątrz, kiedy granica przebiega nie między podmiotem, a przedmiotem, lecz wewnątrz podmiotu. Prawdziwym typem socjalnym nie jest jednostka wchłaniana lub odpychana przez schemat socjalny; prawdziwym typem socjalnym jest człowiek, który w sobie samym, w swej psychice realizuje dramat przyciągania się i odpychania schematów społecznego i indywidualnego“.

A. R.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

TOSCA. — VIII. KONCERT SYMFONICZNY. — MONIUSZKO . . . I INNI.

Ostatnie wznowienia operowe wykazują, że stara i piękna muzyka warta jest zachodu nawet wtedy, gdy zmienne i wykoślawione gusty publiczności kroczą operetkowemi torami, szukając czegoś „fascynującego“ i „porywającego“. Porywającem (w całem tego słowa znaczeniu) było ostatnie wystawienie Tosci, sumiennie i dokladnie opracowane pod względem muzycznym i dekoracyjnym.

Gościnne występy Stani Zawadzkiej, Brégy, Dolnickiego oraz Urbanowicza świadczą o tem, że partje głosowe i gra tych artystów oszlifowane zostały umiejętnie i drobiazgowo, stwarzając należycie wykrojone postaci, które mocno są zarysowane w muzyce Puccini‘ego.

P. Zawadzka dała nam pyszny obraz Tosci, operując misternie i umiejętnie swym nieprzeciętnym głosem, nadającym się zarówno do silnych momentów dramatycznych, jak też i pięknych lirycznych obrazków.

P. Brégy (Cavaradossi) popisywał się pełnym w górnym rejestrze tonem oraz pięknemi pianami; arję w ostatnim akcie cechowały: silne uczucie oraz mistrzowskie rozwinięcie melodji, pełnej czaru, bólu i poezji.

Świetnym Scarpio był p. Dolnicki — zawsze „właściwy“, urodzony prefekt policji, którego dobry i mocny glos tworzył sharmonizowaną całość z dramatyczną partją Tosci.

P. Urbanowicz wywiązał się dobrze jako Angelotti — zarówno pod względem głosowym, jak i aktorskim. Całość — bardzo ładna na tle pięknych dekoracyj p. Szpingera (wnętrze kościoła w I akcie wywierało imponujące wrażenie) oraz dobrej muzyki, szlachetnie potraktowanej przez dyr. Latoszewskiego — sprawiła, że wznowienie „Tosci“ zyskało sobie pełne bravo i uznanie publiczności.

VIII. koncert symfoniczny obejmował poemat symfoniczny Nowowiejskiego „Ninę“, Koncert fortepianowy R. Koczalskiego (solista Koczalski) oraz V. symfonję Beethovena. Dyrygował orkiestrą prof. Feliks Nowowiejski. Kulminacyjnym punktem koncertu było odegranie „Niny“, poematu opartego na tematach Rinaldo di Capua, (wystawionego po raz I. pod dyrekcją kompozytora w Warszawie).

Treścią poematu jest gorąca, idealna miłość włoskiego kompozytora Pergolesi‘ego do swej małżonki Niny, która umiera w Neapolu, rażona zarazkiem dżumy.

Zbolały, niepocieszony Pergolesi gra na organach swe piękne Requiem, wpatrzony w ukochane szczątki swej małżonki . . . W momencie największego żalu i bólu . . . pęka mu serce . . . Dusze dwojga miłujących się małżonków łączą się dozgonnie po śmierci ciała, co znajduje swój piękny wyraz w potężnej apoteozie miłości (w końcu poematu). W momencie tym motyw mollowy przekształca się w dur, co jest pomistrzowsku oddane w najwyższych flageoletach skrzypiec z ornamentyką harfy i celesty.

„Ninę“ cechują szlachetne, pełne słońca, liryki i bólu inwencje melodyjne, precyzyjna i bogata instrumentacja oraz wysubtelniona dynamika.

Koncert fortepianowy Koczalskiego wykazuje duży talent twórczy oraz umiejętność operowania środkami technicznemi. Brak w nim jednak głębszych inwencyj melodyjnych, a konstrukcja — ciężka i słaba — przeładowana jest pasażami i gamami.

Gra p. Koczalskiego pełna jest siły i wyrazu. Dobrym był zwłaszcza polonez As-dur.

Zakończeniem koncertu była V. symfonja Beethovena.

Dyrekcja Teatru Wielkiego z powodzeniem wznowiła w tym sezonie opery moniuszkowskie, które cieszą się uznaniem publiczności oraz dużą frekwencją.

Wartoby wspomnieć, że obok „Halki“ i „Strasznego dworu“ możnaby pomyśleć o innych arcydziełach spuścizny wielkiego narodowego pieśniarza, zaznajamiając w ten sposób najszersze warstwy społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie młodzież, z nieocenioną skarbnicą polskiej twórczości muzycznej.

Z dzieł moniuszkowskich, które wartoby wznowić pro publico et sui bono, wymienić wypada „Flis“, „Na kwaterze“ oraz „Verbum nobile“, — opery, które zawsze pozostaną drogiemi polskiemu sercu i prosto, serdecznie przemawiają do polskiej duszy. Nie od rzeczy byłoby przypomnieć społeczeństwu o kwitnącej twórczości Ludomira Różyckiego („Beatrix Cenci“, „Eros i Psyche“ lub „Pan Twardowski“, a może „Bolesław Śmiały“ i wreszcie „Casanova“), — tembardziej, że właśnie w tym sezonie operowym przypada 30-lecie pracy twórczej tego zasłużonego kompozytora.

W związku z współczesną nasza twórczością operową, wspomnę, że leży w zapomnieniu „Legenda Bałtyku“, której wystawienie przyczyniłoby się do niejednego sukcesu moralnego i kasowego.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, $^{1}/_{10}$ strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.

Rękopisów nie zwraca się.